

„Tajne losy polskiego Żyda w Magnuszewie”

Losy Żydów polskich podczas II wojny światowej były już wielokrotnie opisywane w literaturze. Są to zazwyczaj bardzo osobiste, głębokie przeżycia poszczególnych osób czy całych rodzin. W czasie okupacji Żydzi byli prześladowani przez hitlerowców. Dokonywano na nich masowych mordów i uznawano na gorszą rasę. Przez napisanie tej pracy chciałabym odsłonić losy jeszcze jednego, zapomnianego Żyda polskiego, ukrywającego się na terenie gminy Magnuszew podczas II wojny światowej. Był to wielce zasłużony dla całego narodu polskiego Żyd Pan Henryk Prajs, któremu pomagały rodziny z naszej okolicy.

Pan Henryk Prajs wywodzi się z ubogiej rodziny żydowskiej. Wychował się w małym miasteczku Góra Kalwaria koło Warszawy. W latach trzydziestych ukończył szkołę powszechną i termin czeladniczy w zawodzie krawieckim. W 1937 roku został powołany do odbycia służby wojskowej. Skierowano go do doborowej jednostki trzeciego pułku Szwoleżerów Mazowieckich imienia Jana Hipolita Koziatulskiego stacjonującego w Suwałkach. Pan Henryk odznaczał się wysoką sprawnością fizyczną, dlatego wszystkie zadania wykonywał bez większych trudności. Wkrótce został skierowany do pułkowej Szkoły Podoficerskiej, po czym uzyskał awans do stopnia kaprała. Jako podoficer został dowódcą sześciuosobowej sekcji szwoleżerów .

Okres ten spokojny w służbie minął bezpowrotnie, a kolejny rok obfitował w niepokojące wydarzenia polityczne. Niemcy zaatakowały Austrię i czeskie Sudety. Początek 1939 roku przyniósł zaostrzenie sytuacji politycznej. Spowodowana była ona coraz to nowym żądaniem terytorialnym wysuwanym przez Hitlera m.in. w stosunku do Polski. Społeczeństwo było zaniepokojone faktem agresywnych żądań Hitlera.

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Pan Henryk wraz z innymi żołnierzami przebywał w osadzie Raczki i nawet nie zauważył jej

wybuchu. Żołnierze zaopatrzeni w amunicję, granaty i opatrunki dzielnie łamały opór wroga. Kampania początkowo odnosiła zwycięstwa. Lecz z upływem dni duch bojowy upadał coraz bardziej. Pewnego ranka Pan Henryk został ranny, z punktu sanitarnego przewieziono go do Szczuczynia /ok. 60 km na wschód od Grodna/. Pan Henryk został zdany sam na siebie. Znalazł schronienie u rodziny Lidzkich, która pomogła mu dojść do zdrowia. Następnie ruszył w drogę powrotną. Po dwóch tygodniach wędrówki dotarł do domu, czym sprawił rodzinie wielką radość.

Niestety w jego rodzinnym mieście Górze Kalwarii działo się źle. Żydzi byli ośmieszani i zmuszani do najgorszych prac. W sierpniu 1940 roku zostało tam stworzone getto. Cały jego teren ogrodzono murem, a w bramach postawiono posterunki policyjne. Nikt nie miał prawa go opuścić. Kara była jedna – śmierć.

Zimą 1941 roku dokonano wysiedlenia całej ludności do getta warszawskiego. Pan Henryk postanowił uciec zanim nastąpi wywóz. Pożegnał się z rodziną, która postanowiła pozostać, i wydostał się poza teren getta. Podczas swojej tułaczki spotkał wiele rodzin, które mu pomogły. On ze swojej strony oferował usługi krawieckie. Cały czas pod osłoną nocy udawał się na południe, myśląc, że im dalej od Warszawy tym spokojniej. Dowiedziawszy się o istnieniu getta w Magnuszewie postanowił tam się udać, licząc na lepsze warunki i przeżycie. Ze słyszenia dowiadywał się, że Żydzi zamieszkujący magnuszewskie getto są lepiej traktowani. Po dość długiej tułaczce, dotarł wczesną wiosną 1942 roku do domu rolnika Cwyla Jana ze wsi Ostrów koło Magnuszewa. On i jego rodzina okazali mu dużo troski, przyjęli przyjaźnie i zaoferowali pomoc. Warto nadmienić tu, że pomagająca Żydowi polska rodzina była w dużym niebezpieczeństwie, bowiem szmuglowanie Żydów było srogo karane. U państwa Cwylów w Ostrowie Pan Henryk Prajs ukrywał się kilkanaście dni, w zamian za schronienie, jedzenie, oferował swoje umiejętności krawieckie.

W kwietniu 1941 roku władze niemieckie ogłosiły w getcie magnuszewskim ochotniczy zaciąg mężczyzn w wieku 16-50 lat do robót melioracyjnych, w zamian za zakwaterowanie i wyżywienie. Pan Henryk po naradzie z Panem Jankiem Cwyłem zgłosił się do tych prac, aby zapewnić sobie, choć na jakiś czas legalne życie. Ważne było dla wszystkich również to, żeby nie narażać polskiej rodziny Cwylów na niebezpieczeństwo, bowiem za przechowywanie Żyda i powszechne w tym czasie szmalcownictwo groziła im też śmierć. Prace melioracyjne prowadzone były w Chmielewie nad Wisłą. Trwały od wiosny, przez całe lato do listopada. Zakwaterowani w remizie straży pożarnej, z urządzoną prymitywnie kuchnią pracowali po 10 godzin dziennie przy kopaniu rowów melioracyjnych. Praca była ciężka, często w wodzie i błocie, bez względu na pogodę. Komendantem obozu i kierownikiem prac był inżynier Ukrainiec, który zabraniał wychodzenia poza miejsce zakwaterowania, ale niezbyt tego przestrzegano. Jedzenie, jak opowiada w swych pamiętnikach pan Henryk Prajs było liche, dlatego też często szukano kontaktu z miejscową ludnością. Po godzinach prac melioracyjnych, pomimo zmęczenia Żydzi wymykali się do chłopskich domów, gdzie szyli, naprawiali obuwie, uprząż itp., w zamian za żywność. Obóz był też co jakiś czas kontrolowany przez granatowych policjantów. Choć praca była ciężka, ale raczej bezpieczna i spokojna. Żydzi mieli dach nad głową i jako takie wyżywienie. W tych warunkach pan Henryk przetrwał do jesieni.

W listopadzie prace melioracyjne dobiegły końca. Nastąpiło rozwiązanie obozu. Pod nadzorem granatowych policjantów uformowano z Żydów kolumnę i przeprowadzono ich do Kozienic. Skąd mieli być przetransportowani pociągiem na inne roboty. Przed Magnuszewem zarządzono kilkugodzinny odpoczynek i przy niezbyt dokładnym pilnowaniu, wśród mężczyzn pana Henryka dopatrywał pan Janek Cwyl. Dowiedziawszy się wcześniej, że cała kolumna Żydów zmierza w kierunku obozu koncentracyjnego w Lublinie. Pomógł mu zabrać plecak, a pan Prajs wypatrywał dogodny moment do ucieczki.

Tak oto znalazł się ponownie w gospodarstwie państwa Cwylów. Powszechna była pogłoska, że wówczas z ów postoju z okolic Magnuszewa uciekło ok. 20 Żydów, dlatego też Niemcy szykowali obławę w tej okolicy. Wówczas Pan Janek Cwyl postanowił ukryć Pana Henryka u Józefa Wdowiaka. Zagroda państwa Wdowiaków stała na uboczu, obok Wisły i była względnie bezpieczna. W rodzinie tej Pan Henryk przebywał kilka miesięcy 1943 roku. Szył i pomagał w pracach gospodarczych. Dużą przyjaźń okazali mu synowie Pana Wdowiaka: Henryk, Bernard i 15 – letni Leszek, jak i jego córka Adela.

W pobliżu Kolonii Ostrów, mieszkało kilku kolonistów niemieckich, których z początku Pan Henryk bardzo się obawiał. Okazało się jednak, że byli to bardzo uczciwi i pomocni ludzie. Początkowo pan Henryk szył dla nich odzież, a z czasem była u nich najbezpieczniejsza kryjówka. Rodzina Fryderyka Kultza okazała Żydowi największą pomoc. Zapewniła mu pracę, utrzymanie i należyte poszanowanie przez około dwa miesiące. Pod koniec wojny Kultzów ewakuowano z tych okolic i ślad po nich zaginął. Pan Wdowiak ponownie zaopiekował się panem Henrykiem, ale w okolicy było niespokojnie. Niemcy i Ukraińcy jeździli, wpadali do niektórych zagród i przeszukiwali je. Być może ktoś zadenuncjował obecność Żyda u polskiej rodziny. Gdy zrobiło się mało bezpiecznie Pan Wdowiak przewiózł Żyda łódką na drugą stronę Wisły. Tam, ze wzruszeniem wspomina Pan Henryk, wśród zarośli rzewnie zapłakał nad swoim losem. Po jakimś czasie „zauważył pasącą się chuda krowę, a obok niej stojąca mizerną kobiecinę”, do której podszedł i ją pozdrowił. Nawiązał rozmowę, poprosił o pomoc. Kobietą tą była Pani Katarzyna Pokorska wsi Podwierzbie, która przygarnęła Żyda na jakiś czas. Mimo, że chałupa była licha, rodzina spora i biedna to pomocy nie odmówiła. Pan Henryk Prajs pomagał im w pracach domowych, szył i przerabiał odzież. Dla zabezpieczenia się przed wizyt Niemców lub policjantów granatowych wraz z Panem Janem Pokorskim i jego synem zrobili kryjówkę pod podłogą. Wejście do kryjówki było za łóżkiem, gdzie deska od podłogi się podnosiła i przez niewielką szparę się wchodziło.

Aby nie być ciężarem dla rodziny Pokorskich Żyd szył dla innych zaufanych ludzi. Płacono wyłącznie „co łaska”, w żywności. Często też chodził po pobliskich domach, wykonując tam pracę i przebywając po kilka dni. Było to niezwykle ryzykowne, ale mniej uciążliwe dla gospodarzy. Z tego okresu dużą wdzięczność pan Henryk wspomina rodziny państwa Turachów, Pylów i Pysów.

Pan Henryk przeżył wiele momentów grozy, kiedy to w styczniu 1944 roku niespodziewanie weszło do chaty państwa Pokorskich pięciu niemieckich żołnierzy. Niezauważeni przez nikogo wcześniej, nie zdążyli ukryć Żyda. Niemcy dopytywali się, niemalże przesłuchując każdego z osobna, kim był ów człowiek /nie pasujący „na oko” do rodziny/, ale on sam, jak i państwo domownicy utrzymywali, że to syn. Żyd okazał Niemcom metrykę urodzenia /nieobecnego syna państwa Pokorskich/, po czym sprowadził rozmowę na inny tor, zebrząc o drewno na remont chaty. Wizyta trwała kilkadziesiąt minut, po czym bez satysfakcji Niemcy opuścili gospodarstwo. Tym razem „śmierć przeszła obok”, ale pozostał niepokój, że może ktoś zdradził.

Drugie podobne wydarzenie Pan Henryk z rodziną Pokorskich przeżył w marcu 1944 roku. Wieczorem po głośnym ujadaniu psa nieznani ludzie dobijali się do drzwi. Na odsunięcie łóżka i schowanie się w kryjówce nie wystarczyło czasu. Pan Henryk zdołał zdjąć buty i marynarkę, Pani Pokorska kazała Żydowi wejść na łóżko, na którym sypiały dzieci, po czym przykryła go słomą i posadziła troje swoich małych dzieci, które okryła pierzyną. Otworzywszy drzwi wpuściła do środka dwóch mężczyzn po cywilnemu z bronią, mówiących po polsku. Kobieta zapytana wprost: „gdzie jest ten, co się u was ukrywa?” odpowiedziała, że „nie ma go, trzy dni temu odjechał w tamtą stronę Wisły”. Kazali jej przysięgać i grozili rozstrzelaniem, ale kobieta się nie ugięła. Kazali jej wziąć łopatę i pójść za nimi, klękać i przysięgać, że mówi prawdę. Pan Henryk uciskany ciężarem trojga dzieci obawiał się, że któreś z nich, widząc nękaną matkę wyda prawdę. Kobieta okazała się być silna i swoją nieugiętą postawą uratowała po raz kolejny pana Henryka i swoją rodzinę. Chwile grozy

przeżył, jak uświadomił sobie, że obok łóżka leżą jego buty i marynarka, ale Niemcy tego nie zauważyli.

Warto tu nadmienić, że ojciec Pokorski i jego najstarszy syn Stanisław byli w tym czasie już wywiezieni na roboty rolne do Niemiec.

Nadchodziła już ciepła pora, więc często odtąd Żyd nocował poza domem nie chcąc narażać na ponowne przeżycia Pani Katarzyny i jej dzieci. Nadzieję też budził zbliżający się front wschodni.

Nie chcąc narażać rodziny pan Henryk opuścił dom. Tułał się po okolicy, przedostał się ponownie na zachodni brzeg Wisły. Głodny, często zmęczony, zwłaszcza psychicznie. W jakiejś stodole, okryty tylko sianem spędził trzy dni. Jedząc pół bochenka chleba, ale nie mając nic wody. Po kilku dniach stodoła okazała się być własnością państwa Janeczków, a ich syn Wacek odnalazłszy Żyda donosił mu kilka razy jedzenie i wodę. Opuściwszy stodołę udał się ponownie do rodziny Wdowiaków. Nie pozostał u nich długo, wrócił bowiem w zarośla nad Wisłą. Tam w zarośla pani Pokorska donosiła mu chleb i wodę. Odtąd zaczął Pan Henryk nazywać ją matką – przybraną matką.

W końcu lipca 1944 roku, koczując w nadwiślańskich zaroślach, usłyszał sporadyczną strzelaninę, wybuchy artyleryjskie, co jakiś czas przelatywały samoloty. W popołudniowych godzinach ujrzał patrol wojskowy Rosjan. Ujawniwszy się został skierowany do komendanta wojskowego rezydującego w gminie, który zaproponował mu pracę jako pracownik „wolnonajemny”. Prajs miał szyć, naprawiać umundurowanie, za co miał otrzymywać pełne utrzymanie. Przydzielono mu kwaterę, maszynę do szycia, przyjęto na wyżywienie. Zdobył uznanie, szacunek wśród Rosjan, którym często szył nową odzież. W połowie stycznia front ruszył na zachód a pan Henryk w środku lata powrócił do wolnej już Góry Kalwarii.

Nie zastał niestety swoich najbliższych. Z opowiadań wie, że podzielili los milionów Żydów. Pan Henryk Prajs miał matkę, siostry, brata, których żywot zakończył się w komorach gazowych i piecach krematoryjnych

hitlerowskich obozów zagłady w Treblince i Majdanku.

Z ukrywających się w okolicach Żydów z Góry Kalwarii powróciło jeszcze trzech. Każdy z nich starał się znaleźć mieszkanie, pracę i ocalić pozostałości po Żydach w mieście. Pan Henryk Prajs wkrótce znalazł pracę i założył rodzinę. Doczekał się potomstwa i wnuków. Swoich przybranych rodziców Katarzynę i Jana Pokorskich zabrał do siebie i opiekował się nimi aż do ich śmierci.

Z jego inicjatywy jego przybrana matka Katarzyna Pokorska pośmiertnie, a także żyjący jej syn Stanisław w 1984 r., zostali odznaczeni Medalem Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, nadawanym przez rząd Izraela.

Minęło już ponad 60 lat, kiedy Pan Henryk Prajs żył życiem ściganego zwierzęcia, dlatego tylko, że urodził się Żydem.

Dziś pan Henryk Prajs jest w sędziwym wieku /94 lata/. Nadal mieszka w Górze Kalwarii. Kocha swoją polską ojczyznę, swoje rodzinne miasto, ale wielki sentyment zachował do wszystkich mieszkańców Podwierzbia, rodziny Cwylów i Wdowiaków z gminy Magnuszew.

Pomimo tylu okropnych rzeczy, które Go spotkały chętnie opowiada o swoim losie. Udziela się społecznie, jest w dobrej kondycji psychicznej i życzymy Mu wielu jeszcze szczęśliwych lat życia.

Bibliografia:

Henryk Prajs „Wspomnienia” Góra Kalwaria 1987r.,

„Druga wojna światowa” Warszawa 1987,

Stefan Bratkowski „Pod wspólnym niebem: krótka historia Żydów w Polsce i stosunków polsko-żydowskich”, Warszawa 2001,